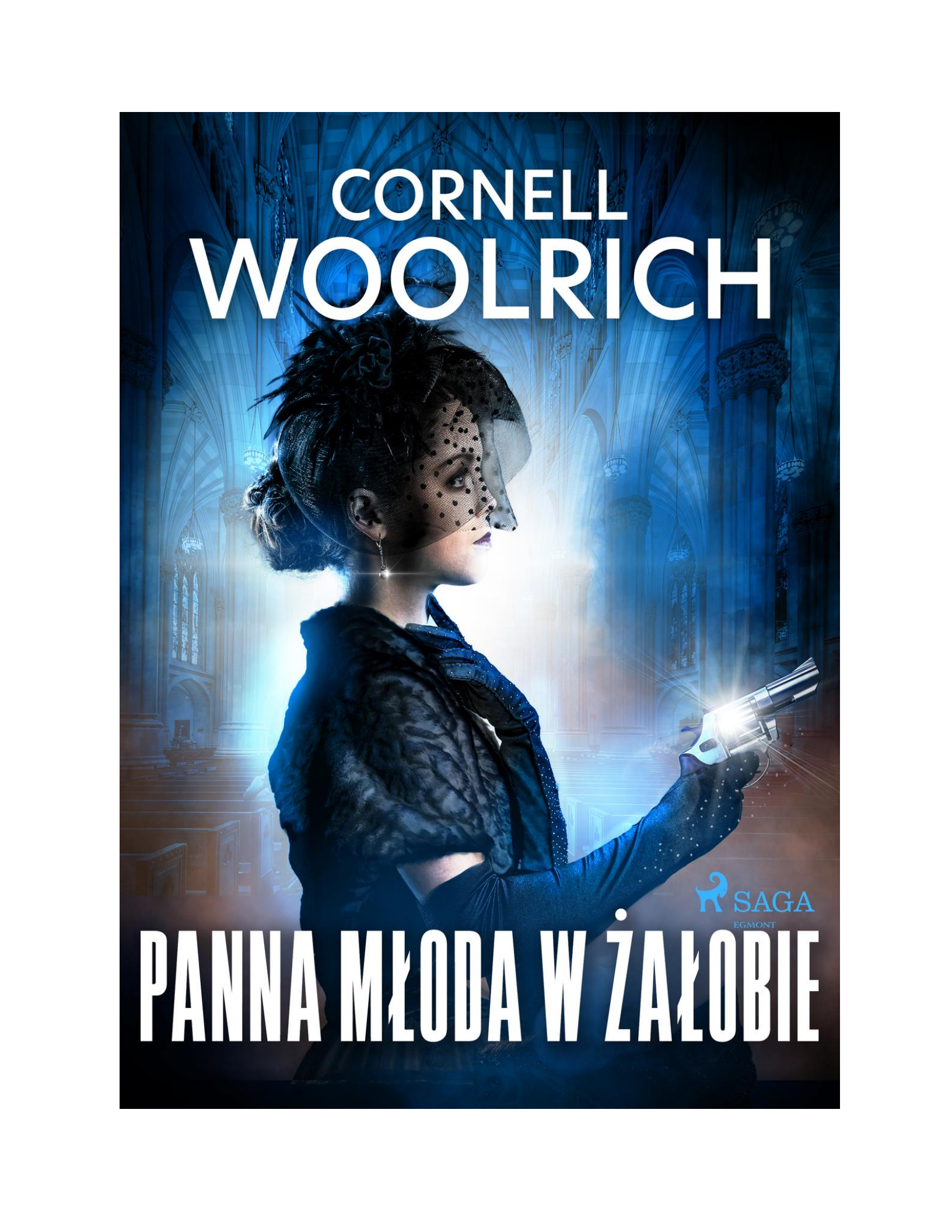


CORNELL WOOLRICH



 **SAGA**
EGMONT

PANNA MŁODA W ŻAŁOBIE



CORNELL
WOOLRICH

PANNA MŁODA W ZAŁOBIE

 SAGA
EGDMONT

Cornell Woolrich

Panna młoda w żałobie

Tłumaczenie Violetta Dobosz

Saga

Panna młoda w żałobie

Tłumaczenie Violetta Dobosz

Tytuł oryginału *The Bride Wore Black*

Język oryginału angielski

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1940 by Cornell Woolrich

Copyright © 1968 by Cornell Woolrich

Copyright © 2022 by Cathy Bartlett Lynch & Laurie Bartlett
Schrader

Published by special arrangement with Renaissance Literary & Talent
Copyright © 2003, 2022 Cornell Woolrich i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728125212

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa
medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera
dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

CHULI

i

Remingtonowi Portable nr NC69411 w równej mierze

*Zabijać, bowiem, to wielkie prawo ustanowione
przez naturę w sercu egzystencji! Nie ma nic
piękniejszego ni szlachetniejszego niż zabijanie!*

Guy de Maupassant

Część pierwsza BLISS

*Widziałeś,
Księżycu smutny, samotną tak mnie,
Pustkę w mym sercu, miłości kres.
I znałeś już,
Księżycu smutny, zamiar mój...*

Rodgers i Hart

Rozdział 1

Kobieta

„Julie. Moja Julie...” Słowa te nie opuszczały kobiety, gdy pokonywała w dół cztery kondygnacje klatki schodowej. Był to najcichszy szept, najtwardsze żądanie, jakie z ust ludzkich wyjść mogą. Nie zawahała się jednak ani nie zwolniła. Tylko twarz miała bladą jak ściana, kiedy wyszła na światło dnia, nic więcej.

Dziewczyna czekająca z walizką przy wejściu od ulicy obróciła się i spojrzała niemal z niedowierzaniem, gdy do niej dołączyła, jak gdyby zastanawiała się, gdzie kobieta znalazła na to siły. Ta, jakby czytając w jej myślach, odpowiedziała na nie zadane pytanie:

— Mnie to pożegnanie przyszło tak samo trudno jak im, tylko że ja w przeciwieństwie do nich zdążyłam się do tej myśli przyzwyczaić. Mam za sobą tak wiele długich nocy, w czasie których mogłam się przygotować. Oni przeszli przez to tylko raz; ja musiałam przechodzić tysiące razy. — Po czym nie zmieniając tonu, rzekła: — Lepiej zawołam taksówkę. O, właśnie jedzie.

Dziewczyna spojrzała na nią pytająco, kiedy już samochód podjechał do miejsca, gdzie stały.

— Tak, możesz ze mną pojechać, jeśli chcesz. Na dworzec Grand Central, panie kierowco.

Nie obejrzała się na dom, na ulicę, z której wyjeżdżały. Nie zerknęła też na wiele innych dobrze pamiętanych ulic, które mijały, a które składały się na jej miasto, to, w którym zawsze mieszkała.

Musiały poczekać chwilę przy kasie, bo ktoś przed nimi też kupował bilet. Dziewczyna stała bezradnie u jej boku.

— Dokąd jedziesz?

— Nie wiem, nawet w tej chwili jeszcze tego nie wiem. W ogóle się nad tym nie zastanawiałam.

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej zwitek banknotów, podzieliła na dwie nierówne części, mniejszą zatrzymując w dłoni. Przysunęła się do okienka i położyła pieniądze.

— Dokąd mogę za to zjechać drugą klasą?

— Do Chicago. I będzie dziewięćdziesiąt centów reszty.

— Więc poproszę bilet w jedną stronę. — Obróciła się do dziewczyny u swego boku: — Teraz możesz tam wrócić i przynajmniej *to* im powiedzieć.

— Nie powiem, jeśli nie chcesz, Julie.

— Wszystko mi jedno. Jakie znaczenie może mieć nazwa miejsca, kiedy odchodzi się w zapomnienie?

Siedziały przez chwilę w poczekalni. Niebawem jednak zeszły na niższy poziom dworca i stanęły przy drzwiach do wagonu.

— Pocałujmy się tak, jak na przyjaciółki z dzieciństwa przystało. — Ich usta spotkały się na krótko. — No, już.

— Julie, co ja ci mogę powiedzieć?

— Po prostu żegnaj. Cóż innego można powiedzieć komukolwiek i kiedykolwiek... w tym życiu?

— Julie, mam tylko nadzieję, że któregoś dnia jeszcze się spotkamy.

— Nie. Już nigdy mnie nie zobaczysz.

Peron szybko został w tyle. Pociąg przemknął długim tunelem. Wyłonił się znowu w świetle dnia, by wspiać się na estakadę i mknąć na poziomie wyższych kondygnacji kamienic, mijając krzyżujące się ulice, migające jak szpary między sztachetami w płocie.

Zaczął znowu zwalniać, jeszcze zanim zdążył nabrać pełnego rozpędu.

— Dwudziesta Piąta Ulica — zapiszczał w wagonie konduktor.

Kobieta, która wyjechała na zawsze, złapała swą walizkę, wstała i ruszyła przejściem, jak gdyby był to już koniec podróży, a nie dopiero jej początek.

Stała przy drzwiach w gotowości, gdy pociąg hamował. Wysiadła, przeszła peronem do wyjścia i wspięła się po schodach na poziom ulicy. W kiosku w poczekalni kupiła gazetę, usiadła na jednej z ławek, przewertowała strony do tych końcowych, gdzie drukowano ogłoszenia drobne, Złożyła gazetę na poręczną szerokość i palcem śledziła kolumnę POKOJE DO WYNAJĘCIA.

Palec zatrzymał się niemal przypadkowo, nie bacząc na szczegóły oferty, na której spoczął. Wbiła paznokiec w miękki papier, zaznaczając ogłoszenie. Wetknęła gazetę pod pachę, po raz kolejny podniosła walizkę i wyszła na zewnątrz, by złapać taksówkę.

— Proszę mnie zawieźć pod ten adres, tutaj — rzekła, pokazując kierowcy gazetę.

Właścicielka pensjonatu z umeblowanymi pokojami do wynajęcia stała potem z tyłu, czekając na jej werdykt przy otwartych drzwiach.

Kobieta obróciła się. — Tak, to mi w zupełności wystarczy. Zapłacę pani teraz za pierwsze dwa tygodnie.

Właścicielka przeliczyła pieniądze, zaczęła wypisywać rachunek.

— Pani nazwisko? — spytała, podnosząc wzrok.

Wzrok kobiety przemknął po jej własnej walizce ze złotymi niegdyś inicjałami „J.B.”, które słabo, ale jednak były widoczne pomiędzy dwoma zatrzaskami. — Josephine Bailey.

— Oto pani pokwitowanie, panno Bailey. Mam nadzieję, że będzie się tu pani dobrze czuła. Łazienka jest w korytarzu za ledwie dwoma drzwiami stąd po pani...

— Dziękuję już, znajdę ją sama.

Zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. Zdjęła kapelusz i płaszcz, otworzyła walizkę, tak niedawno spakowaną przed podróżą do innej dzielnicy — a może na koniec życia...

Nad umywalką wisiała niewielka, upstrzona korozją blaszana szafka. Podeszła i otworzyła ją, wspinając się na palce, jakby czegoś szukała. Na najwyższej półce, tak jak się tego poniekąd spodziewała, znalazła zardzewiałą żyletkę pozostawioną przez jakiegoś dawno już zapomnianego lokatora tego pokoju.

Podeszła z nią z powrotem do walizki, wycięła niewielki obły kształt wokół inicjałów na pokrywie i zdarła wierzchnią warstwę tektury, usuwając je całkowicie. Następnie zaczęła wyciągać zawartość swej podróżnej torby, tnąc bieliznę, koszulę nocną, bluzkę — usuwając te dwie litery, które kiedyś oznaczały ją samą, ze wszystkiego, na czym tylko się znalazły.

Gdy już pozbyła się swej poprzedniczki, wyrzuciła żyletkę do kosza i dokładnie otrzepała koniuszki palców.

W kieszeni pod pokrywą walizy znalazła zdjęcie mężczyzny. Wyjęła je i trzymała przed oczami, wpatrując się przez długi czas. Zwyczajny młody człowiek, nic szczególnego. Nie był z niego żaden wyjątkowy przystojniak: zwykłe oczy i usta, i nos, jak u każdego. Patrzyła na niego bardzo, bardzo długo.

Wreszcie znalazła w torebce pudełko zapalek i zaniósła zdjęcie nad umywalkę. Przytknęła płonącą zapalkę do jednego rogu fotografii i trzymała fotkę tak długo, jak długo w ogóle było co trzymać.

— Żegnaj — westchnęła cicho.

Puściła do umywalki strumień wody i wróciła do walizki. W kieszeni pod klapą został już tylko skrawek papieru z wypisanym ołówkiem nazwiskiem. Wiele czasu zajęło jego

zdobycie. Kobieta zajrzała głębiej i wyjęła jeszcze cztery podobne karteczki.

Wyciągnęła je wszystkie, lecz nie spaliła od razu. Bawiła się nimi z początku, jakby znudzona, nie zainteresowana. Położyła wszystkie na wierzchu toaletki odwrócone tyłem. Pomieszała je czubkami palców. Potem wybrała jedną i zerknęła pod spód. W końcu zebrała wszystkie raz jeszcze i spaliła całą piątkę nad umywalką.

Wtedy to podeszła do okna; stała tam i wyglądała — z dłońmi ściskającymi krańce szorstkiego parapetu. Zdawała się *wisieć* nad miastem widocznym na zewnątrz jak coś nieuchronnego, coś, co zaraz mu się przydarzy.

Rozdział 2

Bliss

Taksówka zahamowała przed wejściem do kamienicy Bliss tak gwałtownie, że ten poleciał nieco do przodu. Alkohol w jego żołądku zachlupotał od wstrząsu. Nie dlatego, że było go w nim tak dużo, ale dlatego, że tak niedawno został spożyty.

Wysiadł, a górna część samochodowych odrzwi przekrzywiła mu na głowie kapelusz. Wyprostował go, wygrzebał z kieszeni drobne, upuszczając jedną dziesięciocentówkę na chodnik. Nie był w sztok pijany, nigdy się do takiego stanu nie doprowadzał. Był świadom wszystkiego, co do niego mówiono i co sam mówił, i czuł się przy tym wybornie. Wypił nie za dużo i nie za mało. No i przez cały czas nie opuszczały go myśli o Marge — wyglądało na to, że w tej kwestii coś wreszcie osiągnął. A takich myśli człowiek nie chciał przecież topić w trunku.

Charlie, pełniący nocny dyżur przy drzwiach, wyszedł do niego, gdy płacił taksówkarzowi. Spóźnił się nieco ze swym powitalnym rytuałem, bo zasiedział się na ławce w przedsionku, kończąc czytanie ostatniego akapitu wiadomości sportowych w jakimś brukowcu. Ale była już druga trzydzieści nad ranem, no i nikt nie jest przecież doskonały.

Bliss odwrócił się i rzekł: — Się masz, Charlie.

Charlie odparł: — Dobry wieczór, panie Bliss.

Otworzył przed nim drzwi do kamienicy i Bliss wszedł do środka. Charlie podążył za nim, dopełniwszy w miarę

zadowalająco swego obowiązku. Ziewnął, a Bliss się od niego zaraził, nie widząc nawet, jak portier to robi, i zrobił to samo — zbieżność zachowań godna zainteresowania jakiegoś metafizyka.

Na jednej ze ścian holu wisiało lustro; Bliss podszedł do niego, jak zwykle, żeby się przejrzeć. Znał dwa typy własnego spojrzenia. „Rany, czuję się kapitalnie, ciekawe, co się dziś wieczór zdarzy.” To było spojrzenie przed wyjściem. Typ drugi to: „Boże, czuję się okropnie, dobrze, że zaraz znajdę się w łóżku”. Tak było, kiedy wracał.

Bliss ujrzał patrzącego na siebie dwudziestosiemioletniego mężczyznę o krótko obciętych piaskowych włosach — w rzeczy samej tak krótkich, że po bokach wyglądały jak srebrzysty meszek. Brązowe oczy, szczupła sylwetka, słuszny wzrost, choć nie za wysoki. Ujrzał patrzącego na siebie człowieka, który wiedział o nim wszystko — ujrzał Blissa. Nie był przystojny, ale kto tam, u diabła, chciałby być przystojny? Nawet Marge Elliot nie obchodziło to, czy był przystojny, czy nie. „Tak długo — jak sama to ujęła — jak jesteś po prostu Kenem.”

Westchnął, pstryknął kciukiem w wymięty biały kwiat wciąż tkwiący w butonierce, aż ten się rozsypał.

Wyjął pogniecioną paczkę papierosów, poczęstował się i zaczął uważnie badać otwór w prawym górnym rogu pudełka. Zobaczył, że został mu jeszcze jeden, i zaproponował go Charliemu.

— Znaj me dobre serce — powiedział.

Charlie wziął papierosa, dochodząc pewnie do wniosku, że już nikt tej nocy nie przyjdzie.

Odźwierny był wielki i mocno zaokrąglony w pasie. Przez to nie był może najlepszy w pucowaniu dolnych partii słupów podtrzymujących zadaszenie przed wejściem, za to część środkowa i góra zawsze lśniły jak diamenty, a przy tym Charlie potrafił poradzić sobie z rozrabiającymi

pijakami dwa razy cięższymi niż on sam. Był nocnym portierem, odkąd tylko Bliss się tu wprowadził. Bliss go lubił. A Charlie lubił Bliss. Bliss dawał mu zawsze dwa dolary na Gwiazdkę i kolejne dwa podzielone na drobniejsze sumy w ciągu roku. Jednak nie o to chodziło; Charlie go po prostu lubił.

Bliss zapalił swojego papierosa i podał ogień odźwiernemu. Odwrócił się i pokonał dwa płaskie stopnie do samoobsługowej windy.

— Aha, byłbym zapomniał, panie Bliss — odezwał się Charlie. — Dziś wieczór chciała się z panem zobaczyć jakaś młoda kobieta.

— Taa? Jak się nazywała? — rzucił Bliss bez zainteresowania.

Nie mogła to być Marge, więc taka wizyta w zasadzie go nie obchodziła — już nie. Przystanął i tylko nieznacznie obrócił głowę, by przyjąć odpowiedź.

— Nie zostawiła nazwiska — odparł Charlie. — Nie mogłem go z niej wyciągnąć. Pytałem dwa czy trzy razy, ale... — Wzruszył ramionami. — Najwyraźniej nie miała zamiaru się przedstawić.

— Nic się nie stało — rzekł Bliss. Bo naprawdę *nic* się nie stało.

— Najwyraźniej bardzo chciała pójść na górę i zaczekać na pana w mieszkaniu — dodał Charlie.

— O, co to, to nie. Nigdy na to nie pozwalaj — powiedział z werwą Bliss. — Te czasy już się skończyły.

— Wiem, panie Bliss. Skądże, nigdy bym się na to nie zgodził, może się pan nie martwić... — zapewnił Charlie nad wyraz szczerze. I zaraz dodał, ledwo zauważalnie kręcąc głową: — Chociaż muszę powiedzieć, że jej naprawdę okropnie zależało.

Sposób, w jaki to powiedział, wzbudził ciekawość Bliss.

— Co to ma znaczyć?

Opuścił jedną stopę z powrotem na niższy schodek, obrócił głowę i ramiona już bardziej wyraźnie w stronę Charliego.

— No cóż... Stała tu ze mną, nieco z boku, koło lustra, po tym, jak już do pana zadzwoniłem i nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Zapytała: „Czy mogę pójść na górę i poczekać?” Powiedziałem: „No, nie wiem, proszę pani, nie wolno mi...” Rozumie pan, próbowałem ją grzecznie spławić. A wtedy ona otworzyła tę swoją torebkę, wieczorową kopertę, którą cały czas mocno ścisnęła, i zaczęła grzebać, jakby szukała szminki czy czegoś takiego. Raptem na samiuśkim wierzchu zobaczyłem studolarowy banknot. Może mi pan nie wierzyć, panie Bliss, ale widziałem go na własne oczy.

Bliss zachichotał z dobroduszną kpiną. — I uważasz, że chciała ci go dać, żebyś wpuścił ją na górę, tak? Daj spokój, Charlie... — Szturchnął go żartobliwie łokciem.

Nic nie było w stanie stłumić żarliwości Charliego, który ze zboląłą miną i wielkimi oczami mówił dalej:

— Ja *wiem*, że ten banknot był dla mnie, panie Bliss. Zachowywała się tak, że było to oczywiste. Otworzyła torebkę szeroko i grzebała w niej palcami, omijając studolarówkę tak, żeby jej nie poruszyć. Stówka leżała, widzi pan, rozprostowana na samiuteńkim wierzchu. Popatrzyła na banknot, a potem na mnie — prosto w oczy. Nawet wyciągnęła rękę z torebką lekko w moją stronę. Nie prosto pod nos, rozumie pan, ale na tyle, żebym pokapował, o co jej chodzi. Niech pan posłucha, pracuję jako portier dostatecznie długo, żeby umieć rozpoznać takie znaki, żeby nie mieć co do nich wątpliwości.

Bliss w zamyśleniu podrapał się w kąciku ust paznokciem kciuka. Jakby chciał się upewnić, że w tym szczególnie jego fizjonomii nie zaszła żadna zmiana.

— Jesteś pewien, że to nie była po prostu dziesiątka, Charlie?

Głos Charliego zabrzmiał niemal jak falset ze zdenerwowania, gdy obstawał przy swoim.

— Panie Bliss, *widziałem* po dwa okrągłutkie zera w obu górnych rogach!

Bliss wciągnął wargę między zęby i przygryzł ją. — A niech mnie лихо! — Zwrócił się wreszcie ku Charliemu całym ciałem, jakby zamierzał ciągnąć tę rozmowę, dopóki jego ciekawość nie zostanie całkowicie zaspokojona.

Charlie zdawał się rozumieć tę potrzebę konwersacji. Tymczasem rzucił tylko: — Zaraz do pana wracam, panie Bliss — gdyż dobiegł do nich odgłos podjeżdżającej do wejścia taksówki.

Charlie wyszedł, dopełnił swego obowiązku przy drzwiach i wrócił w ślad za mężczyzną i kobietą w wieczorowych strojach, którzy o dwudziestej trzydzieści wyglądali zapewne bardzo elegancko. Teraz po ich szyku nie został nawet ślad.

Przechodząc, ukłonili się zdawkowo Blissowi, a on odpowiedział im tym samym, z chłodem typowym dla sąsiadów będących mieszkańcami wielkiej metropolii. Wsiedli do windy i pojechali na górę.

Gdy tylko szybka w drzwiach kabiny znikła, Charlie i Bliss podjęli rozmowę tam, gdzie ją przerwali.

— Powiedz mi, jak ona wyglądała? Widywałeś ją tu wcześniej? Znasz większość towarzystwa, które kiedyś u mnie bywało, i to całkiem nieźle.

— To prawda — przyznał Charlie. — Ale jej nie pamiętam. Jestem pewien, że jej nigdy wcześniej nie widziałem. Za to mogę panu powiedzieć, panie Bliss, że była z niej naprawdę ślicznotka. Taka ślicznotka że ho ho!

— W porządku, więc była z niej ślicznotka — rzekł Bliss — ale jak wyglądała?

— No cóż, była blondynką. — Charlie podniósł ręce, by przemówić gestem, gdy obudził się w nim artysta. Pokazał, tak mu się przynajmniej wydawało, masę przepięknych włosów. — Ale taką *prawdziwą* blondynką, wie pan, jakby aż żółtą... Nie taką srebrną, wypłowiałą, po farbowaniu. Ta była autentyczna.

— Autentyczna blondynka — powtórzył cierpliwie Bliss.

— I te jej błękitne oczy... No wie pan, takie, co to się zawsze śmieją, nawet gdy są poważne. Była gdzieś takiego wzrostu, brodą sięgała do drugiego szewronu na moim rękawie. Rozumie pan. Przy tym... hm... nie za gruba, ale chudą też bym jej nie nazwał; taka akurat.

Bliss wpatrywał się w odległy kąt pod sufitem, słuchając opisu.

— Nie — powtarzał — nie. — Jakby w myślach przeglądał jakiś rejestr osób, odrzucając kolejne możliwości. — Jedyne znajoma, jaka przychodzi mi do głowy, to Helen Raymond, ale...

— Nie, pannę Raymond to ja pamiętam — rzekł stanowczo Charlie. — To nie była ona. Mnóstwo razy wzywałem przecież dla niej taksówkę. — Po chwili dodał: — Zresztą wie pan, czemu jestem całkiem pewien, że pan jej nie zna? Bo ona sama też pana nie знаła.

— *Co?* — zdumiał się Bliss. — Więc czegoż, u licha, chciała, wypytując tu o mnie i próbując dostać się do mego mieszkania?

Charlie wciąż zdawał się pozostawać tuż za nim w kręgach, jakie zataczała ta rozmowa.

— Nie znała pana, jak tu stoję — powtórzył z naciskiem. — Sprawdziłem ją po drodze na górę...

— Ach, więc jednak *zamierzałeś* ją wpuścić. To znaczy, że to na pewno była setką.

Charlie chrząknął nieśmiało, uświadamiając sobie, że popełnił gafę.

— Nie, panie Bliss, skądże — zaprzeczył skwapliwie. — Przecież zna mnie pan na tyle; nie miałem takiego zamiaru. Wsiadłem z nią jednak do windy i zachowywałem się tak, jakbym chciał to zrobić. Pomyślałem, że w ten sposób chyba najłatwiej będzie się jej pozbyć, *udając*, że chcę ją wpuścić, a w ostatniej chwili...

— Tak, tak, wiem — rzekł chłodno Bliss.

— A więc ruszyliśmy razem windą na czwarte piętro, a po drodze przypomniało mi się to włamanie, które mieliśmy tu w zeszłym roku, pamięta pan, i stwierdziłem, że lepiej nie ryzykować. No więc zacząłem jej podsuwać fałszywy opis pana osoby, coś zupełnie odwrotnego, żeby ją wypróbować. Powiedziałem: „To ten rudy, prawda? Dosyć wysoki, jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu? Pracuje tu od niedawna. Chcę się upewnić, czy wiozę panią na właściwe piętro; mamy tylu lokatorów w tym budynku.” I dała się nabrać jak ryba na podbierak. „Oczywiście”, odparła. „To on.” Bez wahania, jakby się bała, że ją przyłapię na tym, iż pierwszy raz w życiu słyszy, jak pan wygląda.

— A niech to weźmie jasna... — uciął Bliss. Dokończył myśl na głos i powiedział, co też jasnego ma to wszystko wziąć.

— To mi wystarczyło, oczywiście — zapewnił go mężnie Charlie. — Już było po niej. Gdy to usłyszałem, pomyślałem sobie: „Nic z tego. Na mojej zmianie się tam paniusiu nie dostaniesz”. Ale nie powiedziałem jej tego, bo... cóż, była ubrana całkiem elegancko, no i w ogóle nie należała do tego typu ludzi, z którymi można się nie cackać. Zbyłem ją więc delikatnie; zacząłem otwierać pańskie drzwi złym kluczem, a gdy nic z tego nie wyszło, udawałem, że innego nie mam i nie dam rady jej wpuścić. Zjechaliśmy

z powrotem na dół, a ona tylko wzruszyła ramionami, jakby nie przejęła się tym, że się nie dostała, jakby nie miało to dla niej znaczenia, bo prędzej czy później kiedyś jej się to uda. Uśmiechnęła się i powiedziała: „Może innym razem”, po czym odeszła ulicą tak samo, jak tu przyszła, na piechotę. To też było dziwne, biorąc pod uwagę, jak była ubrana. Obserwowałem ją aż do zakrętu i nie widziałem, żeby wezwała taksówkę ani nic takiego, tylko szła sobie zwyczajnie, jakby to była dziesiąta przed południem. Wreszcie skręciła za róg i znikła. O’Connor, ten policjant, minął ją po drodze i widziałem nawet, jak się ogląda. Ależ to była ślicznotka...

— Całkiem jak statek, który przepływa i znika w ciemną noc — zauważył Bliss. — Cóż, jedno jest pewne: coś tutaj nie gra. Skoro jej nie znam — a sądząc z twojego opisu, nie znam — i ona nie знаła mnie, to, o co jej, u licha, szło? Może mnie z kimś pomyliła.

— Nie. Znała pańskie nazwisko, a nawet imię. Jak tylko weszła, zapytała o pana Kena Bliss.

— I mówisz, że nie przyjechała taksówką?

— Nie, zwyczajnie przyszła, nie wiadomo skąd, i tak samo potem odeszła. To najdziwniejsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek zdarzyła.

Rozmawiali tak jeszcze chwilę dłużej, jak mężczyzna z mężczyzną, z poufałością typową dla spotkań o drugiej trzydzieści nad ranem.

— Och, wiadomo, że takie dziwaczne rzeczy się zdarzają od czasu do czasu, gdy się mieszka w wielkim mieście. Muszą się zdarzać. Ja to wiem, panie Bliss, sam dość już takich widziałem, pracując w moim zawodzie. Pełno jest pomyleńców, którym się zdaje, że człowieka znają, że kochają, albo takich, którym się wydaje, że zaznali od człowieka jakiejś krzywdy... Zdziwiłby się pan, gdyby pan

wiedział, jakie to pijawki i różni szaleńcy płaczą się po ulicach...

— Więc może teraz taka pijawka przyssała się właśnie do mnie. Cóż za urocza myśl przed pójściem do łóżka. — Bliss się skrzywił.

Odwrócił się i wcisnął guzik windy. Kiedy już wsiadł, uśmiechnął się do Charliego z udawanym lękiem, i nim drzwi kabiny się zamknęły, powiedział:

— Co za czasy nastały, że młody mężczyzna nie może już czuć się bezpiecznie, mieszkając w pojedynkę. Chyba trzeba się ożenić i w ten sposób zapewnić sobie ochronę!

Nim dotarł do swego mieszkania, myślał już tylko o Marjorle — o nikim więcej.

Corey pojawił się u niego o wpół do dziewiątej wieczorem, jeszcze zanim Bliss w ogóle zaczął przygotowywać się do przyjęcia z okazji swych zaręczyn z Marjorie.

— Co jest? — rzucił, otwierając drzwi, z udawanym niezadowoleniem, jakie okazuje się tylko najbliższemu przyjacielowi. — Do piero co wstałem od kolacji. Nie zdążyłem się nawet ogolić.

— O wpół do piątej dzwoniłem do ciebie do biura. Gdzieś ty się, u diabła, podziewał? — odgryzł mu się Corey z taką samą przyjacielską szorstkością.

Wszedł i rozsiadł się w najlepszym fotelu, przerzucając jedną nogę przez jego boczne oparcie. Zdjął kapelusz, próbując trafić nim na parapet. Nie trafił, ale nakrycie głowy zatrzymało się na niewielkiej półce z książkami pod oknem.

Corey był dość przystojnym, choć nie rzucającym się w oczy mężczyzną. Był wyższy od Bliss, nieco szczuplejszy — a może tak się tylko wydawało przez ten wzrost — miał ciemnobrązowe włosy i grube brwi. Starał się uchodzić za wzór dżentelmena z miasta według standardów

magazynu *Esquire*, jednak była to tylko fasada, za którą, można powiedzieć, że krył się człowiek absolutnie bezwzględny. Od czasu do czasu na tej fasadzie rysowała się szczelina i dało się przez nią dostrzec przerażającą dżunglę. Fasada czy nie, ciężko nad nią pracował. Na jakie przyjęcie by się nie poszło, on tam był, stał, podpierając framugę drzwi, grzejąc w dłoniach kieliszek. Przy jakiej dziewczynie by się o nim nie wspomniało, każda go знаła — albo chociaż miała przyjaciółkę, która się do takiej znajomości przyznawała. Jego ulubioną techniką był bezpośredni atak, *Blitzkrieg*, który kończył się sukcesem nawet w najbardziej nieprawdopodobnych przypadkach. Najbardziej wyniosłe, najbardziej dumne damy kładły się przed nim pokotem, jeśli tylko prawdą było to, co mówił.

Zaczął zacierać ręce, udając złośliwą uciechę.

— A zatem dziś wieczór dasz się zakuć w kajdany! Dziś wieczór wyrzekniesz się wolności! Nie kusi cię, żeby jeszcze uciec? Jasne, że tak! Aż się cały trzęsiesz...

— Myślisz, że jestem taki jak ty?

Corey trzykrotnie dźgnął się kciukiem w pierś. — Powinieneś być taki jak ja. Bo tylko taki facet jak ja nie da się zniewolić żadną oficjalną przysięgą!

— Gdybyś się częściej kąpał, może miałbyś ku temu więcej okazji — Bliss mruknął z pogardą.

— Za to im byłoby mnie trudniej znaleźć w ciemności, a to by nie było fair. No więc gdzie byłeś dziś po południu? Chciałem pójść z tobą coś zjeść.

— Szukałem świecidełka. A niby gdzie miałbym być... — Otworzył szufladę toaletki, wyjął małe pudełeczko i otworzył pokrywkę. — Co o tym sądzisz?

Corey wyłuskał pierścioneł z pluszowej otoczki i zagwizdał z podziwu. — Niezły kamyczek!

— Musi być niezły, kosztował mnie for-r-tunę. — Bliss z doskonale udawaną obojętnością wrzucił puzderko

z powrotem do szuflady i zaczął odpinać szelki. — Idę wziąć prysznic. Ty poczęstuj się szkocką, wiesz, gdzie stoi.

Wrócił po jakichś dwudziestu minutach gotowy do wyjścia, nawet z zawiązaną muchą.

— Ciekawe, kto to był? — spytał niedbale Corey, zerkając znad gazety.

— Niby kto?

— Gdy byłeś w łazience, zadzwonił telefon i spytała o ciebie jakaś dziewczyna. Sądząc po tym, jak mówiła, nie była to żadna z twoich starych kumpelek. „Czy to mieszkanie pana Kennetha Blissa?” Powiedziałem jej, że jesteś zajęty, i zapytałem, czy mógłbym coś dla niej zrobić. Nie odezwała się ani słowem, tylko odłożyła słuchawkę.

— Dziwne.

Corey zamieszał alkohol w szklance. — Może to była któraś z tych dziennikarek pisujących dla kroniki towarzyskiej, może chciała dowiedzieć się czegoś na temat twoich zaręczyn.

— Nie, dziennikarze zwykle atakują od strony dziewczyny. Rodzina Marjorie zresztą powiedziała im już wszystko, co było do powiedzenia. Ciekawe, czy to nie była *ona* — rzekł po chwili namysłu.

— Co za *ona*?

Bliss wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Nie mówiłem ci, ale mam chyba cichą wielbicielek. Niedawno miała miejsce zabawna sytuacja. Jednego wieczora, gdy nie było mnie w domu, jakaś piękna dziewczyna za wszelką cenę chciała dostać się tu, do mieszkania. Kiedy wróciłem, powiedział mi o tym portier. Nie chciała zostawić nazwiska ani nic takiego. Charlie zna większość towarzystwa, z którym przestaję — wiesz, jak to po pewnym czasie jest ze wszystkimi odźwiernymi — ale stanowczo twierdził, że tej pani nigdy

wcześniej nie widział. Ubrana była wieczorowo i na jego wprawne oko wyglądała jak jedna z tych naprawdę nadzianych damulek. Ale nie podjechała pod drzwi żadnym samochodem, i to było najdziwniejsze; przyszła pieszo ulicą nie wiadomo skąd, odstrojona jak na bal. Charlie opowiedział mi, jak to otworzyła torebkę i udawała, że szuka szminki w taki sposób, by on mógł wyraźnie zobaczyć studolarowy banknot na samym wierzchu. Zachowywała się tak, by jasno zrozumiał, że stówka będzie jego, jeśli tylko otworzy jej drzwi zapasowym kluczem i wpuści do mojego mieszkania.

Corey popatrzył sceptycznie. — Chcesz mi powiedzieć, że portier nie skorzystałby z okazji, by w tak prosty sposób zarobić sto dolarów? Chyba cię nabiera.

— Nie wiem. Sama kwota wydaje się tak niewiarygodna, że aż prawdziwa. Gdyby to sobie wymyślił, podałyby raczej dziesięć czy dwadzieścia dolarów.

— No i co w końcu zrobił? Wpuścił ją?

— Z tego, co mówił, wynikało, że ta stowa w zasadzie go skusiła; wiozł ją już na górę i miał pewnie tutaj wpuścić. Pomyślał tylko, że lepiej ją najpierw sprawdzić, przekonać się, czy naprawdę mnie zna, zanim otworzy przed nią drzwi mego mieszkania. Podpuścił ją więc, podając fałszywy rysopis, przedstawiając mnie dokładnie takim, jakim nie jestem, a ona dała się nabrać, powiedziała, że tak, właśnie o tego mężczyznę jej chodzi, czym dowiodła, że w życiu mnie przedtem nie widziała. To oczywiście zakończyło sprawę. Charlie bał się zaryzykować. Zaczął udawać, że nie ma klucza czy coś w tym stylu i spławił ją najtaktowniej, jak się tylko dało. Była według niego zbyt dobrze ubrana, żeby się z nią szarpać. Kiedy zrozumiała, że z jej planu nici, uśmiechnęła się tylko, wzruszyła ramionami i odeszła spokojnie ulicą.